

Rostworowski, Stanisław Kostka

Wilga

Rocznik Mazowiecki 15, 199-214

2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanisław Kostka Rostworowski

Wilga

Był ponury listopad 1942 roku, trzeciego roku drugiej wojny światowej, gdy wypadło mi pojechać do Warszawy w interesach należących do mnie dóbr Milejów, położonych nad Wieprzem w powiecie lubelskim. Podróż taka – w warunkach twardej hitlerowskiej okupacji, zwłaszcza wobec żywej akcji sabotażowej „podziemia” i brutalnych, często na oślep wymierzanych represji niemieckich – nie była bezpieczna. Raz po raz ginął ktoś spośród znajomych i krewnych. Żegnając się z żoną, zdawałem sobie sprawę, że jest nie więcej jak 50 procent szans, abym do domu żywy powrócił.

Na stacji w Dęblinie wpadłem w tak zwaną „łapankę”, zastawioną na szmuglerów tytoniu. Była noc, gdy pociąg stanął, padło gdzieś kilka strzałów. Do przedziału pierwszej klasy, w którym siedziałem, weszło dwóch wysokich żandarmów. Byłem zdumiony, gdy spod ławki niespodzianie wywlekli worek jakiejś śmierdzącej machorki, ukryty tam zapewne przez szmuglerów. Usłyszałem groźne *mit!* Śmierć zajrzała mi w oczy. Zebrałem się w sobie, wstałem i raczej podświadomie niż z rozmysłu, zrugalem ich dobrą niemczyzną, a wskazując palcem drzwi, ryknąłem na całe gardło – *Raus!* – po czym aż się wewnętrznie zdziwiłem sam sobie. Natomiast żandarmi zawahali się, ale milcząco wyszli z wagonu i wyskoczyli z pociągu. Na skąpo oświetlonym peronie leżało trzech zabitych.

W Warszawie zatrzymałem się przy ulicy Kredytowej w pensjonacie pani Wojciechowskiej, gdzie Niemcy zazwyczaj nie mieszkali. Wczesny listopadowy mrok już zapadł, gdy wracając do domu ulicą Świętokrzyską, zauważyłem idącego przede mną mężczyznę, który wydał mi się znajomym. Był nim były wojewoda lubelski, Roźniecki¹. Rozpoznanie wojewody utrudnił fakt, że – w przeciwieństwie do dawnych czasów – miał na sobie wyszarżale i mocno sfatygowane pal-

¹ Józef Bolesław Roźniecki (1890–1944), żołnierz piechoty Legionów Polskich, oficer sztabowy WP, doktor praw, w l. 1928/1929 naczelnik Wydziału Bezpieczeństwa Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie, potem wicewojewoda w Łodzi, w l. 1931–1933 wojewoda lwowski, w l. 1933–1937 wojewoda lubelski, członek ZWZ AK, zginął w pierwszym dniu powstania warszawskiego.

to. Ucieszyło mnie to niespodziewane spotkanie, bowiem przypomniało dawne, sprzed lat starania o przekształcenie Wilgi w ośrodek klimatyczno-wypoczynkowy, co uwieńczone zostało wówczas sukcesem. Rozegrały się wtedy wydarzenia, które zadecydowały o tym, że życie moje – jak ufam – bezpłodne nie jest, i że dane mi było, być może, trwały po sobie zostawić pomnik.

Rzecz miała się następująco: po moim szczęśliwym ślubie zawartym 8 lipca 1926 roku w Białaczewie z Marią Ludwiką Broel-Platerówną, córką Zygmunta hr. Platera z Białaczewa i Anny z Belina-Brzozowskiej, ojciec mój² – gdy ukończyłem studia uniwersyteckie w Poznaniu, a odbyta w Kluczu Milejowskim praktyka rolna dała dobre wyniki – postanowił nabyć dla mnie majątek ziemski. Z tą myślą wiosną 1927 roku niespodziewanie wezwał mnie do Kębła (gmina Wąwolnica, pow. puławski) położonego o 5 km od Nałęczowa. Tam zaopatrzył mnie w odpowiednie środki i polecił, abym się rozejrzał za odpowiednim majątkiem ziemskim i przeprowadził transakcję kupna. Z ojcowskiego polecenia – przy udziale starszego brata mego Antoniego³ – wywiązałem się szybko. Zbyt szybko!

Już w maju czy na początku czerwca 1927 roku zostałem właścicielem dóbr Wilga, położonych nad Wisłą w pow. garwolińskim, 50 km od Warszawy, niedaleko boleśnie zapisanych w historii Maciejowic. Co tu gadać, kupno było fatalne! Zbyt wielką ufnością obdarzył mnie ojciec najdroższy!

Majątek był spory, mógg bez mała trzy tysiące. Ale co to był za majątek, pozał się Boże! Lasów ca mógg 2500, w ciągu kilkadziesiąt lat przez poprzedniego właściciela, jakiegoś adwokata warszawskiego, w pień niemal wyrąbanych. Na przestrzeni tej były rozrzucone tu i ówdzie kępy sosnowego samosiewu, zmieszane gdzieniegdzie z brzozą i olchą. Rozległe piaszczyste polany porośnięte były niekończącymi się wrzosowiskami, wśród których sterczały rosłe jak piramidy, czasem zaś o pokracznych kształtach jałowce. Był to prawdziwy dla cietrzewi matecznik, do którego w czasie toków zjeżdżali się wiosną nasi kuzyni i przyjaciele na polowania. Koguty grały tu jak na odległym Polesiu. Z pewnością lepszych tokowisk w całym byłym Królestwie Kongresowym nie bywało! Oprócz przechodzących dzików i nielicznych saren toki cietrzewi stanowiły wielki urok i były jedyną bodaj dobrą stroną tych pustkowi. Prawdziwie, rację miał mój teść, gdy mówił: „Za lasy te fraka sobie Staś nie sprawi”. Okrasą nabytych przeze mnie dóbr Wilga miało być około 500 mógg mad powiślańskich i 120-morgowe rybołówstwo. Tak głośiły rejestry pomiarowe przy planach majątku. Rejestry te nie mówiły jednak, że nadwiślańskie mady (teoretycznie żyznością egipskim dorównujące) wskutek braku odwodnienia, raczej jako bagna powinny być zakwa-

² Antoni Jan Rostworowski (1871–1934), doktor filozofii, właściciel majątków Milejów i Kębło, członek Ligi Narodowej, Koła Międzypartyjnego, Obozu Wielkiej Polski, współfundator wielu instytucji kulturalnych, skarbnik Towarzystwa Uniwersytetu Lubelskiego (KUL), w l. 1924–1927 prezes Lubelskiego Towarzystwa Rolniczego, radca Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, szambelan papieski.

³ Antoni Bogusław Rostworowski (1900–1938), ochotnik 1 Pułku Ułanów Krechowieckich w 1920, wskutek złego stanu zdrowia nieprzyjęty do zakonu oo. Benedyktynów w Abbey St. André w Belgii, artysta malarz, fundator kaplicy w Złotoklosie, opiekun ociemniałych w Laskach.

lifikowane. Rybołówstwo byłoby wspaniałe, gdyby nie brakło... wody. Piękno krajobrazu nic na tym nie traciło, ponieważ w parku, tuż przy domu, znajdował się duży, w większości pokryty wysoką trzcina, dziki staw.

Ale najczarniejszą stroną świeżo nabytych dóbr była komunikacja. Najbliższe stacje kolejowe: Garwolin bądź Ruda Talubska oddalone były o dwadzieścia kilometrów piaszczystej, zupełnie odludnej leśnej drogi. Ze stacji jechało się wolnym stępem przez bite cztery godziny. Dziś jeszcze dzwoni mi w uszach monotony odgłos piachu odpadającego z grzęznących w nim kół. Tak więc, szeroki pas borów sosnowych od strony wschodniej dzielił Wilgę od świata. Od zachodu zaś przegrodę stanowiła modra, tylko mewom i rybakom dostępna, szeroka wstęga Wisły.

Pośród tego pustkowiecia widniały jak gdyby oazy. Tworzyły je lekkie pola pod lasem, zielona kępa drzew w parku, którego urok stanowiło to, że był jak gdyby półwyspem, z trzech stron bowiem oblewały go wody. Widok stąd rozpościerał się rozległy na srebrne równiny powisła i rozrzuconą wśród sadów, małą acz parafialną wieś Wilgę. Można ją było nazwać stolicą odciętego od świata, zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca. Obyczaj panował tu dawny, może przypominający czasy szwedzkiego „potopu”. Zdawać by się mogło, że kraj usnął. Zdziwienie moje było wielkie, gdy poważni i niemłodzi już gospodarze całowali mnie po rękach, a w kościele proboszcz darzył nas względami bynajmniej przez liturgię nieprzewidzianymi.

W kilka tygodni po niefortunnym kupnie odważyłem się do Wilgi sprowadzić żonę⁴. Gdyby ojciec mój nie był przysłał dobrych cugantów, przyjazd ten nie byłby możliwy. Droga z Rudy Talubskiej do Wilgi w skrajny upał, wskutek naprawiania uszkodzonego koła u miejscowego „koczbryka”, trwała pięć godzin! Jednak w żonie mojej płynęła krew Emilii Plater i nawet w siódmym miesiącu ciąży z humorem znosić umiała tę męczarnię. Ale przeprawa przez piachy miała być zaledwie początkiem dalszych przeciwności. W kilka dni po naszym przyjeździe na folwarku runął dach stodoły, a także zawaliła się podłoga na piętrze fundamentalnego, zdawać by się mogło, spichlerza. Były to jednak tylko przygrywki do mających wnet nadciągnąć czarnych dni. Niewiele było potrzeba, aby się zorientować, jak wielkie popełniłem głupstwo, kupując Wilgę.

W tych czarnych chwilach pokrzepiała mnie świadomość, że w odległym o 25 kilometrów Otwocku place, lichymi porośnięte laskami, sprzedawane były od ręki w cenie nie mniejszej niż 10 000 zł za morgę, co równało się kwocie około 2 000 dolarów. Tymczasem my – kupując Wilgę – płaciliśmy przeciętnie za morgę po 155 zł, to jest ledwie 27 dolarów. Dla dodania sobie otuchy powtarzałem w myśli, że przecież Wilga jest odległa o ledwie 50 km od Warszawy, ma wszystkie cechy klimatyczne Otwocka, a położeniem swym – wśród arcysuchych, górzystych, nadwiślańskich lasów, nieskończenie piękniejszych od otwockich – posiada niewątpliwie swoje atuty. Przeto z chwilą przeciągnięcia zatwierdzo-

⁴ Maria Ludwika z Broel-Platerów Rostworowska (1900–1972), ziemianka, absolwentka Szkoły Gospodarczej w Chyliczkach, uzdolniona muzycznie, w wieku starszym ciężko chora na reumatyzm.

nych już szos od Warszawy wzdłuż Wisły do Wilgi i od Garwolina do Wilgi jej zalesione place niewątpliwie przewyższą ceny otwockie. Wydawało mi się tym bardziej pewne, że Warszawa odczuwała już brak położonego wśród lasów ośrodka sportów wodnych. Zdawałem sobie sprawę z tego, że niełatwo będzie przetrzymać trudny okres, zwłaszcza że przyśpieszenie budowy szos i z mojej strony pociągało za sobą znaczne koszty. Ale nie było innego wyjścia. Zaciąłem się w sobie i oboje z żoną z wiarą młodości wzięliśmy się do roboty. *Qui veut vaincre ou mourir vaincu rarement*⁵ – powtarzałem sobie, broniąc się przed zwątpieniem.

Wkrótce po naszym osiedleniu się przyjechał nasz krewny i nowy sąsiad, Władysław Jezierski z Sobieni-Jeziorów⁶. Ręce nad losem naszym załamywał. Człowieku – mówił – przed kupnem Wilgi mnie trzeba było się poradzić. Znam ten majątek doskonale. Jest on zupełnie zdewastowany. Wymaga ogromnych nakładów. Sprzedaj go zaraz, choćby ze stratą. Myśl twoja, żeby tu drugi Otwock zrobić, to mrzonka zupełna. Wybij to sobie z głowy i póki czas, uciekaj! Takie było zdanie trzeźwego i najprzyjaźniej usposobionego człowieka, który powszechnie uważany był za wybitnego znawcę tych odludnych stron. W parę dni później przyjechał mój ojciec. Na twarzy jego nietrudno było mi odczytać przygnębienie. Jednak przywiązanie i serdeczność okazywane teściowi, a zapewne czar osobisty i pogoda ducha mojej żony i jemu się udzieliły. Wieczorem siedzieliśmy na tarasie. O parę kroków połyskiwała w blaskach zachodu gładka tafla wodna – nazwanego „parkowym” – dzikiego stawu. Dwieście kroków dalej rysowała się zwarta ściana wysokich trzcin. Nagle w szuwarach zaczęło się kotłować, a po chwili z głośnym kwakaniem i łopotem rwać się zaczęły kaczki krzyżówki. Przelatywały pojedynczo lub stadami ledwie nam nad głową, by wnet zniknąć za wysokimi kępami drzew. Gdy mrok zapadał, z daleka dochodził metaliczny pobrzęk bekasów. W nocy tuż za oknami szalały niekończące się chóry żab.

Ojciec mój wyjechał nazajutrz. Wytrzymaj – powiedział – i donoś mi o wszystkim. Ja o was będę pamiętał – dodał głosem, w którego tonie odczytałem niepokój i serdeczność. Po kilku dniach z Kębła i Milejowa długimi karawanami nadciągając zaczęły konie robocze, narzędzia i rozliczny sprzęt gospodarczy.

Twarde, ale niepozbawione uroku były dwa pierwsze lata w Wildze, umilane zabawami z naszą pierwszą córeczką Izabelą. Były to lata wielkiej pracy. Jednak, zwłaszcza wiosną, zjeżdżali do nas krewni i przyjaciele na sławne już toki cietrzewi, później na ciągi kaczek, na kszyki, a także na podchód raczej niż podjazd⁷ rogaczy. Praca szybko zaczęła dawać rezultaty. Osuszyłem i wzięłem pod uprawę

⁵ Kto zwyciężyć chce lub umrzeć, rzadko bywa zwyciężony.

⁶ Władysław hr. Jezierski, właściciel dóbr Otwock Wielki i Sobień-Jezioro, w 1926 poślubił Elżbietę z hr. Tyszkiewiczów, wdowę po Stanisławie hr. Plater-Zyberku, właścicielu majątku w Konstancy nowie.

⁷ Podchód – sposób polowania przez podchodzenie myśliwego do zwierzyny na odległość strzału; podjazd – rodzaj polowania polegający na podejżdżaniu na saniach (czy furmanką), skąd myśliwy zeskakuje, kryje się za drzewem, a sanie odjeżdżają. Zwierzyna zainteresowana odjeżdżającym pojazdem, wystawia się na strzał myśliwego.

większą część powiśla, a urodzaj był tak wielki, jakiego nawet w Milejowie czy gdzie indziej nie widziałem. Na przykład jęczmienia zebrałem 26 kwintali z morgi, buraków cukrowych – powyżej 300, marchwi pastewnej białej olbrzymiej (proszę mi uwierzyć) aż 1 100 kwintali. Rzepak ozimy też dawał plon znakomity, bo 15 kwintali z morgi. Zarybiłem część stawów, które przez spiętrzenie wody na rzece Garwólce bądź Wildze dały się zalać. Idąc za radą mego ojca, lekkie piaszczyste pola byłych folwarków Amelin i Polewicze obsiałem żytem i uzyskałem pozwolenie na ich parcelację. Na tym jednak najważniejszym dla mnie odcinku parcelacyjnym poniosłem zupełną klęskę. Chłopi, mimo ceny nad wyraz przystępnej, nie kupili ani morgi. Zbyt dobrze znane im były te lichoty!

Tymczasem podatki biegły, a wymagające ciągłych inwestycji powiśle nie mogło na nie zarobić. Znaczne sumy pociągało za sobą zbudowanie czworaków dla służby rolnej i remonty kapitalne budynków gospodarczych. Ponadto pieniądze szły na dobrowolne subsydiowanie przeze mnie rozpoczętej przez starostwo w Garwolinie budowy szosy do Wilgi. Aby nie wpaść w uciążliwe długi, musiałem zaciągnąć pożyczkę Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Dawało to chwilowy oddech, ale na dalszą metę smutne musiało sprowadzić następstwa. W czarnych chwilach zwątpienia fascynowało mnie tylko jedno słowo: „Otwock”. Otwock ledwie 25 km odległy od Warszawy. Warszawa obok. Czyżby to były tylko miraże lub *fata morgana* na wilskiej piaszczystej pustyni?

Chyba we wrześniu 1928 roku odwiedził nas w Wildze ciężkim swoim „Fiatem” Zygmunt Broel-Plater⁸, ojciec mojej żony. Z trudem ciężka maszyna przebrnęła przez morze lotnych piachów. Były chwile, że teść zawracać już chciał do Warszawy, by stamtąd zachodnim brzegiem Wisły, szosą dojechać do leżącego naprzeciw nas Mniszewa i tam jakimś staroświeckim promem tentować przeprawę. Zapytany o zdanie jakiś przygodny znawca tych stron uznał jednak plan ten za jeszcze bardziej karkołomny.

Dom, po remoncie i odmalowaniu, przedstawiał się już jako tako po „europejsku”. Także kuchnia, obfitująca w dziczyznę i wszelkiego rodzaju grzyby, niewiele pozostawiała do życzenia. Teść mój jednak, tak zazwyczaj pogodny i wesół, wyraźnie był przygnębiony. Wieczorem wziął mnie na stronę i rąbnął bez ogródek:

– Nie ma sensu, żebyście tu siedzieli. Dam ci niezwykle pomysłowego machera, co potrafi lasy twoje w mig na place rozprzedać. Lasy bliżyńskie mego brata Henryka⁹, położone bliżej Kielc niż Warszawy, były obiektem znacznie trudniejszym do sprzedaży, a uporał się z nimi ponad wszelkie moje spodziewanie w przeciągu kilku miesięcy. Jutro jedź ze mną do Warszawy. Zapoznam cię z nim na obiedzie u Krzemińskiego.

Ani słowa więcej od teścia w tej materii nie usłyszałem. Wyraźnie jednak kontent był z pomysłu. Nietrudno było mi zauważyć, że przygnębienie znikło

⁸ Zygmunt Broel-Plater (1870–1934), absolwent Akademii królewskiej w Tharand pod Dreznem, ziemianin, właściciel Białaczewa (pow. konecki), działacz polityczny i gospodarczy.

⁹ Henryk Broel-Plater (ur. 1876) bezzenny, dziedzic dóbr i zakładów produkcyjnych w Bliżynie pod Skarżyskiem-Kamienną.

z wyrazistej, pięknej jego twarzy. Nagłym ruchem chwycił za krzesło i przysunął się do fortepianu. Wnet zabrzmiała żywa, rytmiczna przygrywka. Potem jedna po drugiej piosenka śpiewana w różnych językach. Wszystkie buchające młodością, temperamentem, życiem. Dziś jeszcze mam w uszach czarujący jego tenor i melodie gorąco przeżywane. Wydawało mi się, że jest młodszy ode mnie. Ściemniało się już, a my wciąż trwaliliśmy zasłuchani. Niespodziewanie teść mój gwałtownym ruchem zamknął fortepian. – Dawaj strzelbę – zawołał. Zrozumiałem. Ze stawu pod domem zaczęły podrywać się kaczk. Teść wybiegł na taras. Strzelał raz po raz, raczej dubletami. Z bliska i z daleka, bez pudła. Zgrabny był jak młody chłopak, a uroda i czar były od niego. Gdy mrok zapadł, chłopak kredensowy nabierał z latarką w rękę kaczek dwadzieścia trzy. Spiżarnia była zaopatrzona.

Dwa dni później jadłem z teściem obiad w zacisznym gabinecie wybornej restauracji Krzezińskiego na rogu ulic Trębackiej i Wierzbowej. Poznałem tam człowieka, który w charakterze późniejszego mego plenipotenty podjął się w kilka miesięcy rozprzedać na podmiejskie place letniskowe ponad 2000 mórg wileńskich lasów. Organizacje osiedla i sprzedaż działek firmować miało Towarzystwo Eksploatacji Terenów w Warszawie S.A., którego Zygmunt Plater był członkiem zarządu. Kontrahent mój stawiał tylko jeden – być może, najtrudniejszy – warunek. Mianowicie musiałem wziąć na siebie starania o uzyskanie u władz pozwolenia na parcelację lasów i przerąb ulic dojazdowych. Kości zostały rzucone! Następnego dnia już powierzyłem znanemu w Warszawie planiście włoskiemu, architektowi Andrzejowi Boni, pracującemu w Towarzystwie Eksploatacji Terenów, sporządzenie prowizorycznych na razie planów mającego powstać Podstołeczne Osiedla Wilga nad Wisłą. Plan ten potrzebny był jako załącznik przy podaniu do wojewódzkich władz ochrony leśnej. Ów plan, mimo ustawicznych moich nalegań, był gotów dopiero w końcu kwietnia 1929 roku, to jest w przeddzień mającego rozpocząć się sezonu, kiedy to za pierwszym podmuchem wiosny oszalałe mieszcuchy, żywiołowym gnane instynktem, gromadnie prą na wieś.

Krótki ten moment, od którego zależało powodzenie przedsięwzięcia, trzeba było uchwycić za wszelką cenę. Czy jednak zdąży się otrzymać postanowienie urzędu ochrony leśnej, znanego z pedanterii i nieskwapliwości. Podanie wniosku mogłem dopiero po otrzymaniu planów. Czy więc w ogóle zdążymy? Sprawa zdawała się wisieć na włosku. Wreszcie architekt Boni zawiadomił mnie: „Plany gotowe”. Pojechałem zaraz do Warszawy. Konsultacje i narady nad zredagowaniem podania do wojewody lubelskiego trwały dni kilka. Ostatecznie spłodziłyśmy uzasadnienie krótkie:

W rozrastającej się milionowej stolicy daje się odczuć brak nowoczesnie rozplanowanego osiedla klimatycznego nad Wisłą, które byłoby jednocześnie ośrodkiem rozwijającego się szybko sportu wodnego.

Potrzebę tę zresztą stwierdzały załączone pisma poważnych instytucji i miejskich władz stołecznych. Gdy podanie i załączniki były gotowe, udałem się do

Lublina, tak bowiem dziwacznie wykrojone było województwo lubelskie, że podwarszawska Wilga pod względem administracyjnym do niego należała. Nie chcąc opóźnić mego wyjazdu do Lublina, wyjechałem z Warszawy pierwszym nadarzącym się nocnym pociągiem. W mym przedziale I klasy miałem tylko jednego towarzysza podróży, jakiegoś – sądząc z wyglądu – zamożnego kupca żydowskiego. Zmorzył mnie sen. Budząc się zdążyłem zauważyć kupca mojego wyskakującego z walizką na peron. Pociąg był już w biegu. Ledwie zdołałem odczytać na budynku stacyjnym słabo oświetlony, oddalający się szybko napis – „Otwock”. W przedziale byłem teraz samotny. Po jakimś czasie zauważyłem, że moja skórzana wiedeńska walizka, w której wiozłem plany Osiedla Wilga, podanie do wojewody i z trudem uzyskane alegaty, zmieniła jakoby kształt. Zdrętwiałem. Próbowałem otworzyć. Na szczęście nie była zamknięta na klucz. Wybebeszyłem ją w jednej chwili. Były w niej przybory toaletowe, piżama i jakieś drobiazgi. Szperając gorączkowo, znalazłem wśród nich bilet wizytowy z nazwiskiem Wassong.

Bilet stał się źródłem całej mojej nadziei. Niestety chciało, że pociąg mój był przyśpieszony i stawał dopiero w oddalonym o 100 km Dęblinie. Mijaliśmy właśnie Garwolin. Podjąłem błyskawiczną decyzję i rozpaczliwym ruchem pociągnąłem hamulec bezpieczeństwa. Pociąg natychmiast stanął. Zapłaciłem grubą karę, ale po chwili wskoczyłem do pociągu towarowego, który szybko mnie wiozł w kierunku Warszawy. Nie minęło pół godziny, jak znalazłem się znowu w Otwocku. Była ciemna noc. Na słabo oświetlonym peronie stał jeden tylko tragarz.

– Znacie kupca Wassonga? – zawołałem.

– A znam – odpowiedział. – Co dopiero przyjechał z Warszawy.

– Wiecie, gdzie mieszka? Prowadźcie. Suto wam podziękuję.

Nie minęło pół godziny, jak zgubiona walizka z bezcenną dla mnie zawartością znalazła się znów w moich rękach. Z relacji tragarza wynikało, że Wassong nie był nawet walizki otworzył i nieświadom był zaszłej pomyłki. W każdym razie obie strony były zadowolone. Święty Antoni Padewski z niebios także zadowolony być musiał i On bowiem tej pamiętnej dla mnie nocy sowicie zarobił.

Dopiero nad ranem mocno zmęczony znalazłem się w łóżku, rozkoszując się ciszą dość prymitywnego lubelskiego hotelu „Wiktoria”.

Nie ma jak młodość. Miałem wtedy ledwie skończone 28 lat. Obudziłem się rano rześki i do życiowych zapasów sposobny. Idąc do gmachu urzędu wojewódzkiego na ul. Niecałą, gdzie ciężka czekała mnie runda, powtarzałem sobie w duchu: „Kto zwyciężyć chce lub zginać, rzadko bywa zwyciężony”. Dzień jednak zapowiadał się niezbyt pomyślnie. Okazało się, że wojewoda Remiszewski¹⁰ zmienił dni przyjęć. Od znajomych dowiedziałem się jednak, że bywa zwykle w urzędzie o godz. 11 i zdarza się, że czasem kogoś przyjmie. Wyjąłem

¹⁰ Antoni Remiszewski (1883–1948), absolwent wydziału filologii polskiej UJ, nauczyciel i inspektor szkolny, działacz PPS i POW, starosta w Łodzi i Będzinie, w l. 1926–1930 wojewoda lubelski, podczas okupacji niemieckiej żołnierz AK.

zatem z cudownie odzyskanej walizki bezcenne dla mnie plany wraz z alegatami i gorączkowo ściskając teczkę, pomaszerowałem do sekretariatu. A tam mi oświadczone: – Wojewoda polecił nie wpuszczać nikogo. Niech pan przyjdzie w przyszłym tygodniu. Zebrałem w sobie całą siłę woli, cały dar sugestii i perswazji, na jaki mnie było stać i autorytatywnie, tonem nieznoszącym sprzeciwu oświadczyłem, że przyjeżdżam z Warszawy, w sprawach poufnych, natury publicznej i nie cierpiących zwłoki. Sekretarz wyglądał zmiażdżony. – Zamelduję o pańskim przyjeździe – cicho bąknął. Nie upłynęła minuta, jak wrócił. – Pan wojewoda prosi – powiedział i odprowadził mnie do drzwi jego gabinetu.

Wszedłem śmiało. Nogi jednak mi drżały. Zdawałem sobie sprawę, że od tej chwili zależy cała moja przyszłość: zwycięstwo bądź gorycz bankructwa. Wojewoda, dawny działacz PPS-u o orientacji lewicowej, był barczystym, w sile wieku, okazałym mężczyzną. Z twarzy jego odczytać można było rozum, przenikliwość, energię, a może i trochę figlarnego, ludzkiego sprytu.

– Skąd pan jest – zapytał.

– Z Wilgi.

– Nie słyszałem. – Tu wyraz twarzy wojewody przestał zdradzać zainteresowanie.

Rozłożyłem przed nim imponujące plany architekta Boniego. Niedbale rzucał na nie okiem.

– Wystarczy – powiedział, odsuwając dokumenty i załączniki. Zapadła chwila milczenia.

– Czy pan jest synem hrabiego Antoniego? – zapytał. Gdy potwierdziłem, rzucił:

– Czy mogę panu zaufać? Rozumie pan, takie sprawy wymagają bardzo solidnego traktowania. Czy pan równie sprawnie zdoła zrealizować przedstawiony mi plan Osiedla, które ma być płucami Warszawy, jak umiejętnie potrafił pan opracować jego projekt i zgromadzić dokumenty uzasadniające jego celowość. Jakie jest zdanie w tej sprawie ojca pańskiego. Dla mnie jego opinia jest miarodajna, jako długoletniego prezesa Lubelskiego Towarzystwa Rolniczego.

Odpowiedź nie przyszła mi trudno. Wiedziony wyostrzoną w takich wypadkach intuicją, odpowiedziałem może niezupełnie zgodnie z rzeczywistością:

– Ojciec mój jest inicjatorem projektu, a autorytet jego sprawił, że projekt spotkał się z uznaniem sfer gospodarczych i z poparciem stołecznych instytucji kulturalnych, co znalazło wyraz w pismach załączonych do podania złożonego panu wojewodzie. Co do mnie zaś, to pan wojewoda może być pewny, że zaufania mi okazanego nie zawiodę. W sprawę tę włożyłem całą duszę, wszelkie uzdolnienia do pracy i osobistą ambicję. Wilga jest sprawą mojego honoru. W takich sprawach się nie zawodzi.

Wojewoda milczał. Plany moje leżały gdzieś na boku i nie zdawały się zaprzętać jego uwagi. Zwrócony bokiem do mnie nieruchomo patrzył w okno.

– A no zobaczymy – powiedział. Audiencja była skończona.

W tydzień potem listem poleconym przyszedł do Wilgi upragnione zezwolenie. Nosilo ono datę trzy dni późniejszą od dnia mojej bytności u wojewody.

Można sobie wyobrazić, że w głowie kręciło mi się od szczęścia! A więc pierwsza batalia wygrana – mówiłem sobie. Upragnione, przez speców „mrzonką” nazywane, pozwolenie mam w ręku. Przyszło w tempie w praktyce urzędniczej nieznanym, w przededniu szczytowej dla sprzedaży placów koniunktury. Zmora spadła mi z serca. Zastąpiła ją pewność niemal zwycięstwa. Przeskok był zbyt duży. Po chwilach zwątpienia niebywały sukces jak musujący szampan poszedł do głowy. W jednej chwili, jak to zwykle u młodych bywa, nabrałem mocno przesadzonego o sobie mniemania. A zapomniałem o przestrodze dewizy herbowej mojej rodziny *Nil conscire sibi*¹¹. Wyszło mi z pamięci, że nie dalej jak przed kilkunastu dniami o mały włos „nie zawałem sprawy”, gdy roztargnienie moje oddało walizkę z cennymi planami w ręce nieznanego kupca żydowskiego. Nie wiedziałem wtedy i dopiero w kilkanaście lat później miałem się dowiedzieć, że bynajmniej nie ja, ale inne potężne i dobroczynne siły oddały mi w ręce tak mało prawdopodobne zwycięstwo.

Uderzenie na Wilgę – jak zwykliśmy mówić w biurze – było znakomicie zorganizowane przez Towarzystwo Eksploatacji Terenów. Dnia 2 czerwca 1929 roku, w kulminacyjnym punkcie sezonu, w czołowych, najbardziej poczytnych gazetach warszawskich ukazały się wielkie, na całą stronę, ogłoszenia. Obwieściły one warszawiakom powstanie pierwszego nad Wisłą, na wysokim górzystym brzegu położonego leśnego ośrodka klimatyczno-wypoczynkowego. Plan jego były tak wyraźnie wydrukowany, że każdy czytelnik mógł odnaleźć wśród około 4000 parcel tę, która swym położeniem najbardziej mu odpowiadała. Cena była rewelacyjnie niska – początkowo 500 zł za półmorgową działkę, odpowiednik 100 dolarów i to częściowo rozłożone na raty.

Sukces przeszedł wszelkie oczekiwania. W trzy dni zostały sprzedane wszystkie parcele. Ulica Mazowiecka, gdzie mieściło się biuro sprzedaży, zawałona była tłumami kupujących. Zarysowały się kamienne schody w biurze. Już w południe policja zamknęła ulicę i czynnie musiała interweniować, bo ludzie tłoczyli się przy bramie, a w ogonkach dochodziło do bójek. Dopiero wieczorem udało mi się przedostać do biura, gdzie spędziłem całą noc, sprawdzając wysokość wpływów. Nazajutrz rano, sam wielce uradowany, posłałem ojcu odbywającemu kurację w Krynicy depezę tej treści: „Połowa działek sprzedana”. Dwa dni potem telegrafowałem: „Wszystko sprzedane”. I jednocześnie daliśmy w gazetach stołecznych ogłoszenie zawiadamiające publiczność o zakończeniu transakcji placami i nieprzyjmowaniu nowych zgłoszeń.

Wszystko ma jednak swoje dobre i złe strony. Wnet na horyzoncie pojawiły się groźne chmury. Parutysięczna rzesza nabywców zapragnęła bowiem natychmiast jechać do Wilgi, aby obejrzeć co rychlej szczęśliwie nabyte parcele. Nabywcy nie zdawali sobie sprawy, że nie ma żadnej komunikacji z Wilgą. Daremnie dyrekcja TET działała na zwłokę. Parcie było tak silne i tłumne, że nie pozostało nic innego, jak wynająć statek pasażerski w Towarzystwie Żeglugi

¹¹ Dewiza herbowa rodziny Rostworowskich herbu Nałęcz – „Niczego sobie nie wyrzucać”.

Wiślanej i wielkim ogłoszeniem w pismach zawiadomić rzesze nabywców o mającej za kilka dni wyruszyć wodnej wycieczce do Osiedla.

Owe kilka dni wymagały ogromnego nakładu pracy, a zwłaszcza szybkiego działania. Kupiłem natychmiast samochód osobowy i silną motorówkę, by szybciej do Wilgi się dostać i przyjęcie letników jako tako zorganizować. Przygotowałem drzewo w Wildze na prowizoryczną przystań. Szczęśliwie majstrowie punktualnie przybyli z Warszawy motorówką. Za trzy dni pomost był gotowy, a nad przystanią powiewały uszyte naprędce przez żonę chorągiewki o barwach moich herbowych. Wycieczka miała swoje blaski i cienie. Czas był cudowny. Na pokładzie jednak upał nie doskwierał, gdyż od rzeki wiał lekki, chłodzący podmuch. Kto choćby raz jeden wzrok utopił w modrej wiślanej toni, tego ogarniał kojący spokój i trosk zapomnienie, jakby u letejskich pił wód. Dzięki temu może ludzie stłoczeni na pokładzie parostatku „Warneńczyk”, ukoleni czarem wiślanym, zdawali się nie spostrzegać, że z powodu niskiego stanu wody podróż trwała bez mała dziesięć godzin.

Wreszcie, około czwartej po południu, „Warneńczyk” zawinął do prowizorycznie zmontowanej przystani wilskiej. Około 800 osób dość sprawnie przeszło pomost, by – trawestując Wergilego – Wilgę „wesołym powitać okrzykiem”. Gajowi, zaopatrzeni w nowe czapki z zieloną otoką oraz w białe opaski na ramieniu z napisem „Przewodnik”, zajęli się tłumem nowo przybyłych. Ja zaś, obawiając się wybuchu niezadowolenia z powodu przydługiej i pozbawionej elementarnych wygód podróży, trzymałem się z dala i dopiero po jakimś czasie przyjechałem samochodem i przez megafon wygłosiłem krótkie powitalne przemówienie. Prosiłem przybyłych o puszczenie w niepamięć niewygod podróży i oświadczyłem gotowość częściowego subsydiowania będących w budowie szos nadwiślańskiej i garwolińskiej. Wielce rad byłem, gdy zamiast oczekiwanego sarkania, przemówienie moje zostało przyjęte nader życzliwie. Dziwna rzecz, ale gościom, oprócz zapowiedzi przyspieszenia budowy szos, podobało się to zwłaszcza, że przemawiając do nich, użyłem zwrotu „sąsiedzi”.

Wróciłem do domu będąc pewny, że straż leśna dobrze wywiąże się z roli przewodników po rozległych terenach Osiedla. Trzeba wiedzieć, iż każdy gajowy zaopatrzony był w plany, a biała opaska na ramieniu wskazywała pierwsze i ostatnie numery działek, po których miał nabywców oprowadzać. Stare rosyjskie przysłowie mówi, że nie ma większego szczęścia, jak widzieć kurz za odjeżdżającym *naczalstwem*. Podobnie i ja w pełnym zrozumieniu *mutatis mutandis*, żywej prawdy tego powiedzenia, z niecierpliwością oczekiwałem wiadomości o odjeździe licznej rzeszy nowych „sąsiadów”. Nadjechał wreszcie konny z meldunkiem, że „letniki odjechali kuntente, ale nieobeznane z lasem, ogień w kilku miejscach od papierosów zaprószyły”.

Rozesłałem wnet gońców po wsiach i okolicznych strażach ogniowych, zdając sobie sprawę, że sześciotygodniowa susza zwiększa grozę położenia, skoro wrzos pali się niezgorzej od słomy. Szybko, ponad wszelkie oczekiwania, galopem zjeżdżały się jedna po drugiej straża ogniowe. Za nimi chłopci z łopatami przybywali wciąż nawet z odległych wiosek. Pierwsi, zaopatrzeni w wyborny sprzęt, sprawnie i we wzorowym ordynku przybyli niemieccy koloniści

z Holendrów. Wszyscy oni rozumieli, że spłonąć może Osiedle, a wraz z nim nadzieja na realną poprawę swego bytu przez kontakt ze znacznie zasobniejszymi przybyszami.

Gdy noc zapadła, łuny nad Osiedlem wznagały się, bądź też w innych miejscach zdawały się przygasać. Nad ranem wreszcie pożary zupełnie opanowano. Po okolicy snuły się tylko gryzące dymy. Cały dzień następny setki chłopów zbrojnych w łopaty i siekiery pilnowało, czy od żaru ogień się znów gdzie nie pokaże. Wielkim szczęściem i okolicznością pomyślną było to, że w powietrzu panowała zupełna cisza. Przy wietrze bowiem poszedłby tzw. ogień górny i spłonęłoby najprawdopodobniej całe Osiedle.

O rychło ugaszonych pożarach mało kto się dowiedział, gdyż parostatek z letnikami, płynący z prądem znajdował się już gdzieś daleko na Wiśle. Nic przeto nie stało na przeszkodzie, by rozgłos arcyudanych narodzin Osiedla Wilga nad Wisłą rozszedł się szeroko, bodaj po całym kraju. O Wildze wszędzie teraz mówiono. Nie zdziwiło mnie tedy, gdy pewnego dnia urzędowy telefonogram z Lublina zawiadomił nas, że w wyznaczonym dniu Wilgę zaszczyci swoją wizytą tym razem nowy wojewoda lubelski, pan Roźniecki.

Istotnie, o wskazanym czasie buchające fontanny piachu spod kół ciężkiego wojewódzkiego auta zwiastowały zbliżanie się niezwyklego w tych okolicach gościa. Zapewne, jak Wilga Wilgą, od zarania Państwa Polskiego, żaden wojewoda nie zjawił się w tym zabitym deskami zakątku. Wojewoda Roźniecki zabrał krótko. – Winszuję panu sukcesu – powiedział, wychodząc przed dom z rozgrzanego samochodu. Tradycyjnie, jak każdy wojewoda lubelski, pytał się zaraz o mego ojca, bowiem i jemu chciał złożyć swoje wyrazy uznania. Niestety, ojca nie było. Na wyjezdnym wojewoda wpadł w dobry nastrój. W książce gości zostawił zapis: „Gospodarzowi o europejskim rozmachu życzę powodzenia w jego dalszych dla dobra Kraju przedsięwzięciach”. Sentencję tę podpisał zamasyście: „Roźniecki – Wojewoda”. Gdy po czarnej kawie odjeżdżał, powiedział mi – Pchaj pan sprawę szosy, poprzemy. Było już ciemno. Czas jakiś chodziliśmy z żoną po ogrodzie, słuchając koncertu żab. Nad głowami wysoko – rzekłbyś, pomiędzy gwiazdami – jak cienie szybko przelatywały dzikie kaczki.

Patrząc z partykularza wilskiego, trudno byłoby przypuścić, że świat cały wije się w szponach podobnego do żywiołowej kłęski kryzysu gospodarczego. Nie przypuszczałem też, że kłęska ta dotknie w najbliższych latach i kraj nasz, i rodziny nasze. W Wildze natomiast, na przekór ogólnej stagnacji, wszystko szło ku lepszemu. Na szosach warczały roboty, a starosta popierał każde moje przedsięwzięcie. Zwłaszcza najbardziej piaszczyste, do Sahary podobne, odcinki drogi na Garwolin przestały istnieć pod twardą nawierzchnią szosy. Na stację kolejową śmigiałem samochodem nie dłużej jak 20 minut. Trudno mi było uwierzyć, że przed dwoma niespełna laty na tę samą stację wlokłem się noga za nogą i cztery nawet z okładem godziny. Jazda do Warszawy, tak do niedawna uciążliwa i długa, upodobniała się raczej do przyjemności godzinnego spaceru. Telefoniczną zaś rozmowę z dyrekcją Osiedla w Warszawie uzyskiwałem natychmiast

na prawach służbowego telefonogramu. Na Osiedlu przy pomiarach, wyrąbaniu duktów, a potem przy budowie kasyna i willi znaleźli zarobek mieszkańców okolicznych, przeludnionych, biednych wiosek.

Ostatnią jaskółką dobrych czasów młodości mojej „górnej durnej” była wizyta starosty. – Chciałbym widzieć pana na pierwszym miejscu listy wyborczej BBWR do sejm (Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem) z powiatu garwolińskiego – powiedział. Zastrzegłem sobie kilka dni do namysłu i z ciężkim sercem... odmówiłem. Byłem wówczas pod wpływem głośnych publikacji wybitnego teoretyka politycznego, Władysława Studnickiego¹², a także Adolfa i Aleksandra Bocheńskich¹³. Podobnie jak oni, rozwiązanie narastającego kryzysu politycznego Europy widziałem w daleko idącej współpracy polsko-niemieckiej.

Rozumiałem, że podobnie, jak ongiś mówiło się w Polsce *gente ruthenus, natione polonus*, tak i dziś, trawestując to powiedzenie na modłę czasów współczesnych, należałoby stworzyć i tchnąć życie w pojęcie *gente polonus, natione europeus*. A na ołtarzu tego pojęcia o wartości nadrzędnej poświęcić trzeba poszczególne nacjonalizmy: francuskie, hiszpańskie, belgijskie, duńskie czy inne. Byłem wtedy tego zdania i dziś jeszcze, gdy piszę te słowa w 1967 roku, myślę podobnie. Wydaje mi się, że od zrozumienia tej prawdy i od przejęcia się nią zależy ocalenie wspólnej nam wszystkim cywilizacji europejskiej.

Dla zrezygnowania z drogi politycznej, na którą w skromnej mierze wszedłem w przededniu wybuchu tragicznej dla Europy i tragicznej dla obu narodów wojny polsko-niemieckiej z 1939 roku, skłoniły mnie zaszły w rodzinie naszej zmiany. Zdarzyło się mianowicie, że starszy mój brat, Antoni, którego ojciec widzieć chciał dziedzicem rodzinnych pod Lublinem leżących dóbr Milejów, postanowił mnie dobra te odstąpić, by w murach klasztornych poświęcić się służbie Bożej. Wołą ojca mego było, abym dar ten przyjął i jako czwarte już pokolenie osiadł w tym gnieździe rodzinnym. Ojciec wyłożył mi powody swojej decyzji. Przewidywał bowiem nadejście w Polsce ciężkiego, długotrwałego kryzysu rolnego. W tym stanie rzeczy uznał za niebezpieczne jednostronne lo-

¹² Władysław Studnicki (1867–1953), ur. w Dyneburgu, początkowo działacz socjalistyczny, zesłany na Syberię, po 1897 studiował ekonomię w Wiedniu, z kolei w Galicji i Królestwie działacz niepodległościowy, publicysta, autor pracy *Sprawa polska*, w której dał wyraz orientacji antyrosyjskiej i proniemieckiej; podczas I wojny światowej przywódca Klubu Państwowców Polskich, członek Tymczasowej Rady Stanu. W okresie międzywojennym publicysta „Słowa” w Wilnie i autor pracy *System polityczny Europy a Polska* oraz wielu innych. Podczas II wojny światowej podejmował nieskuteczne interwencje na rzecz porozumienia polsko-niemieckiego. Zmarł w Londynie.

¹³ Adolf Bocheński (1909–1944), publicysta polityczny „Buntu Młodych”, w 1936 praktykant w Poselstwie Polskim w Pradze czeskiej, autor znanej pracy *Między Niemcami a Rosją*. Ochotniczo uczestniczył w kampanii wrześniowej, potem w bitwie pod Narwikiem. W szeregach Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich brał udział w obronie Tobruku, zginął jako podporucznik pułku ułanów Karpackich w Camerano pod Loreto podczas kampanii włoskiej. Aleksander Bocheński (1904–2001), publicysta i działacz polityczny o orientacji neokonserwatywnej, współpracownik „Buntu Młodych” i „Polityki”, znawca problematyki ukraińskiej, w latach 1940–1941 prowadzący rozmowy z Niemcami na temat stworzenia administracji polskiej, autor książki *Dzieje głupoty w Polsce*. W 1945 uczestnik spotkań działaczy katolickich z Jerzym Borejszą, w l. 1947–1952 poseł na sejm, od końca wojny przez 11 lat dyrektor Browaru Okocim, potem niestrudzony publicysta gospodarczy na łamach „Słowa Powszechnego” w duchu neoliberalnym.

kowanie aktywów w ziemi i to w trzech odległych od siebie majątkach (Milejów, Kębło, Wilga). Wyznał mi też, że jego siły fizyczne słabną, więc potrzebuje synowskiej wyreki. Nie było rady. Z zasmuconym sercem w słoneczny dzień sierpniowy 1931 roku opuściliśmy Wilgę na zawsze. Odprowadzały nas tylko srebrne, kwilące mewy.

Tak więc zgodnie z wolą ojca w lecie 1931 roku nabyłem dobra Milejów. A stało się to w początkach nadciągającej ciężkiej depresji ekonomicznej, która jak groźny żywioł w przeciągu kilku lat miała przewrócić nawet potężne fortuny. Nastąpiły zatem dla nas ciężkie lata zmagania się z wieloletnim gospodarczym kryzysem. Nastąpiła niemal zupełna stagnacja w obrotach, a ceny ziemi, drzewa i płodów rolnych spadały na łeb na szyję. Pogląd na rozmiar katastrofy dać może fakt, że przeciętna cena ziemi i ziemiopłodów spadła sześciokrotnie¹⁴, a ten stan rzeczy *mutatis mutandis* utrzymywał się do wybuchu drugiej wojny światowej. Kto zatem posiadał majątek nieznacznie nawet obdłużony, stanął wobec bankructwa, bowiem spadkowi cen płodów rolnych nie towarzyszyła obniżka podatków ani też wystarczająca redukcja oprocentowania zobowiązań pieniężnych.

Kryzys rolny w Polsce dał się odczuć nagle. Zaostrzała go wadliwa polityka rządu polskiego wobec Niemiec, które – o ile pamiętam – do roku 1930 były jedynym *en gros* odbiorcą naszej produkcji rolnej, z czego właśnie we wspomnianym roku się wycofały¹⁵. Rzecz znamienita, że kryzys agrarny, jak nagle w Polsce się zjawiał, tak w jednej chwili przedzierzgnąć się miał w szczytową rolną koniunkturę. Niestety, chwili tej towarzyszył upadek Państwa Polskiego i okupowanie ziem polskich aż po Bug przez armię niemiecką we wrześniu 1939 roku.

17 września tego właśnie roku, o godz. 3 po południu, pod stare lipy przed milejowskim dworem zajechały tankietki niemieckie i rozpoczęła się dla nas długa, około 5 lat trwająca okupacja hitlerowska.

¹⁴ Cena ziemi ornej, w dużej kulturze, nieopodal cukrowni rafinerii Milejów spadła z 3000 zł w latach 1928/1929 na 500 zł i to bez reflektantów. W tych czasach za kwintal pszenicy cena spadła z 60-65 zł na 12 zł, żyta – z 50 zł do 8 zł. Analogicznie kształtowały się ceny za drzewo i inne plody rolne (przyp. Autora).

¹⁵ O rozpoczynającym się kryzysie rolnym w Polsce dowiedziałem się w takich okolicznościach: bodajże w czerwcu 1931 r. poszedłem do Syndykatu Rolniczego w Lublinie, aby dać polecenie sprzedaży 800 kwintali pszenicy. W pełni przednówka liczyłem wziąć za kwintal nie mniej jak 65 zł. Jakież było moje zdziwienie, gdy dyrekcja nie robiła mi nadziei sprzedaży wyżej jak za 45 zł i to nie w szybkich terminach. Chcąc dowiedzieć się o przyczynach tej niespodziewanej zniżki, zaszedłem do Henryka Dąbrowskiego, dyrektora lubelskiej filii Banku Handlowego S.A. w Warszawie. Od niego dowiedziałem się, że przyczyną gwałtownej bessy jest to, że przed paru dniami banki niemieckie wycofały utrzymaną u nas stałe akredytywę nie niższą niż 200 000 dolarów USA z poleceniem nieograniczonego skupu wszelkich płodów rolnych i wagonowania ich do Niemiec. Wraz z wycofaniem się tej dyspozycji i akredytywy ustał zupełnie nasz eksport rolny do Niemiec, które były głównym i niemal jedynym jego odbiorcą (przyp. Autora).

Stanisław Kostka Rostworowski (1901–1977), ziemianin, publicysta. Urodził się 26 lutego 1901 r. w Milejowie. Dzieciństwo spędził w Kęble pod Wąwolnicą na Lubelszczyźnie. W 1910 zachorował na zapalenie stawów, długo leczone. W 1912 spędził kilka miesięcy na leczeniu w Goggingen w Austrii. Jednakże pełna sprawność jednej nogi nigdy mu nie powróciła. Przebywając w Austrii, opanował niemiecki i uczył się też angielskiego. W 1920 zdał maturę w Gimnazjum im. Stefana Batorego, w tzw. „Szkole Lubelskiej” w Lublinie, po czym odbył studia rolnicze w Poznaniu i praktykę rolniczą w Milejowie (pow. lubelski). W dniu 8 lipca 1926 w Białaczewie zawarł związek małżeński z Marią Ludwiką Broel-Plater.

Dnia 4 czerwca 1927 notarialnie nabył od Jana Ewangelisty Czerkiewicza za kwotę 60 000 dolarów USA majątek Wilga (pow. garwoliński), mający 2800 morgów i 220 przętów. Koszt ziemi wynosił 54 000 dolarów, natomiast zabudowania i inwentarz pozostałe 6000. Majątek ten w $\frac{3}{4}$ stawał się własnością Stanisława Kostki i w $\frac{1}{4}$ własnością jego żony, Marii Ludwiki. Małżonkowie Rostworowscy przed nabyciem majątku wpłacili 25 000 dolarów, co mogło oznaczać, że zaangażowane tu zostały kwoty z wiana Marii Ludwiki z Broel-Platerów. Pozostała kwota 35 000 dolarów USA była spłacana w trzech ratach do 1 października 1928, a w dniu zakupu majątku wpłacona była wekslem, mającym zabezpieczenie na hipotecę majątku ojca Stanisława Kostki, Antoniego Jana Feliksa Rostworowskiego w Milejowie. Oznaczało to, że kwotę owych 35 000 dolarów wyasygnował dla syna Antoni Rostworowski. Zakupiony majątek był zadłużony w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim na kwotę 94 861 zł 61 gr i 4529 dolarów 33 centy. Dotychczasowi właściciele zobowiązali się opuścić dwór w Wildze do 4 lipca 1927, co oznacza, że od tego czasu mogli się tam sprowadzić małżonkowie Rostworowscy, którzy mieli również mieszkanie w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu 58 m. 2.

Dokonany zakup majątku okazał się nieszczęśliwy, gdyż gospodarka była zdewastowana, a lasy wytrzebione. Stanisław Kostka wraz z żoną w czerwcu 1929 za pośrednictwem spółki akcyjnej Towarzystwa Eksploatacji Terenów w Warszawie i plenipotentą Jana Karwowskiego sprzedał większość owych lasów, dzieląc je w trzech etapach na 2532 działki rekreacyjne, wytyczone przez mierniczego przysięgłego, inż. Kazimierza Sawickiego, o powierzchni 2560 m², choć niektóre miały nawet po kilka hektarów. W pierwszym etapie w czerwcu 1929 w ciągu trzech dni sprzedał 1850 działek. Był to sukces tym większy, że do Wilgi nie było bitych dróg i nabywców dowożono Wisłą statkiem „Warneńczyk”. Ponadto Wilga, wskutek zadłużenia na kwotę 76 000 zł, miała być przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie z datą 29 września 1930 poddana licytacji. Dnia 31 stycznia 1930 w kancelarii Hipotecznego Sądu Okręgowego w Siedlcach nastąpiło z wniosku Stanisława Rostworowskiego notarialne wydzielenie z dóbr Wilga lasu o powierzchni 1 000 ha 5659 m² i nadanie temu obszarowi nazwy „Wilga nad Wisłą. Osiedle Klimatyczno-Wypoczynkowe”. Tak więc wspólnie ze swą żoną, Marią Ludwiką, również podpisującą dokumenty sprzedaży, Stanisław Kostka Rostworowski, podjętym aktem parcelacji części majątku, dał początek Osiedlu Klimatyczno-Wypoczynkowemu w Wildze.

Wszedł jednak w długotrwały spór z plenipotentem Karwowskim, który 60 działek odpisał pokątnie na rzecz swej żony. Spór trafił na wokandę sądową, co więcej, z powodztwa Karwowskiego, który miał dobrą pozycję w ówczesnie wpływowych środowiskach sanacyjnych. Rostworowskiego bronił mec. Niedzielski, a politycznie pomógł mu zaprzyjaźniony z jego ojcem min. Jerzy Zdziechowski. Sytuacja była niełatwa, bo Karwowski, mający plenipotencję na wszystkie transakcje, mógł sprawę wygrać. W 1930 Rostworowski częścią działek spłacił wymagalne pod sankcją sprzedaży przymusowej zadłużenie w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim. Ważnym aspektem jego działalności było współfinansowanie budowy dróg z Wilgi do Garwolina i do Warszawy. Ponieważ jego starszy brat, Antoni, zrzekł się dziedziczenia majątku rodowego Milejowa na Lubelszczyźnie, Stanisław Kostka został w 1931 jego właścicielem i zarządzał nim do 1944. Początkowo był jeszcze właścicielem resztówki dóbr Wilga o powierzchni 289,18 ha, do której należały zabudowania dworskie i stawy. Resztówkę, mającą wartość szacunkową 270 000 zł i zadłużenie na kwotę 200 000 na rzecz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, małżonkowie Rostworowscy aktem notarialnym z 1932 zamienili ze Zdzisławem i Wandą Zabiellami na połowę ich domu w Warszawie przy ul. Chmielnej 77/79 o wartości 65 000 zł i bez żadnego zadłużenia. Rostworowscy parę działek z parcelowanego majątku przekazali jako darowizny w 1934 dla Związku Harcerstwa Polskiego, dla Ligi Inwalidów Wojennych Wojsk Polskich im. gen. Józefa Sowińskiego oraz dla Koła Rodziców przy Państwowym Gimnazjum im. Hetmana Zamoyskiego w Lublinie.

Dnia 30 sierpnia 1938 Rostworowski całą swoją własność pozostałą w Osiedlu, prawdopodobnie około 140 działek, za kwotę 6 700 zł sprzedał swemu bratankowi, Janowi Marii Józefowi Rostworowskiemu, mającemu wówczas 23 lata. Prawdopodobnie była to transakcja formalna, mająca na celu rozliczenie należności spadkowych Milejowa z najmłodszym bratem Jasiem, który *nota bene* zginął w obozie w Gross Rosen w 1944. Nowy majątek Stanisława Kostki Rostworowskiego leżał nieopodal Lublina, dojazd do niego był stosunkowo łatwy. Milejów odwiedzało wiele osób o dużej formacji umysłowej, jak chociażby Władysław Studnicki, Adolf i Aleksander Bocheńscy, Tadeusz Breza, Edmund Moszyński. Stałym bywalcem bywał też syn Władysława, Konrad Studnicki, który jako młody człowiek chłonał atmosferę toczących się „przy milejowskim kominku” debat i po latach już wspominał, że „uniwersytet milejowski” wszystkim nam się przydał. Stanisław Rostworowski miał szerokie zainteresowania kulturalne i polityczne, był orientacji konserwatywnej, podzielał typ myślenia Stanisława Koźmiana krytycznie nastawionego do powstań, a chcącego chronić byt narodowy. Perspektywę wojny z Niemcami oceniał z niepokojem, nie rokując, aby Polska z niej mogła wyjść zwycięsko. Jako ziemiani- na cechował go zmysł gospodarczy i uzdolnienia do interesów, lecz zarządzany przez niego majątek rodowy na Lubelszczyźnie ciężko przechodził kryzys ekonomiczny z lat 30. Podniósł się dopiero w czasie okupacji niemieckiej i to głównie dzięki dobrze prosperującej gorzelni.

Opuszczając Milejów, Rostworowski udał się do Krakowa, gdzie nawiązał kontakt z Adamem Ronikiem i tworzonym przez niego Biurem Studiów. Uczestnicy tego środowiska opowiadali się za wiernością wobec Rządu Londyńskiego, ale tak-

że za zaprzestaniem walki z Niemcami. Na zebraniach Biura Studiów bywali nawet Niemcy. Rostworowski był zainteresowany możliwością opuszczenia Polski i wyemigrowania do Ameryki. Gdy jeszcze podczas okupacji zaistniała szansa wyjazdu, nie zdecydował się jednak opuścić kraju i pozostał w Krakowie.

Pomiędzy 20 kwietnia a 3 czerwca 1945 uczestniczył z grupą działaczy katolickich w trzech spotkaniach z majorem Jerzym Borejszą, z których ostatnie odbyło się w jego mieszkaniu w Krakowie. Grupa ta dążyła do stworzenia jawnego ośrodka działalności politycznej i publicystycznej, chroniącej byt narodowy, lecz uznającej współpracę z Rosją sowiecką. Rostworowski uważał, że Polska jest i pozostanie w orbicie wpływów sowieckich. Dzięki poparciu Jana Frankowskiego uzyskał pracę w zakładach mięsnych. Przed wyborami 17 grudnia 1946 w licznej grupie polityków katolickich był uczestnikiem audiencji u prezydenta Bieruta. W tym czasie znalazł dużą zbieżność poglądów z Aleksandrem Bocheńskim. Kandydował z listy katolicko-społecznej do Sejmu Ustawodawczego, na liście będąc na drugim miejscu po Bocheńskim. Otrzymał wystarczającą ilość głosów, by wejść do sejmu, lecz wybory były sfałszowane przez komunistów i mandatu nie uzyskał. Zgodnie z ówczesną ordynacją wyborczą, przysługiwał mu status zastępcy posła i miał z tego tytułu pewne prawa, np. mógł nocować w Hotelu Sejmowym. W 1950 przystąpił do zarządu Zrzeszenia „Caritas” powstałego po likwidacji „Caritasu” kościelnego, ale po rozmowie z kard. Sapiehą natychmiast z niego ustąpił. Wycofał się ze wszelkiej działalności politycznej, przeszedł na rentę i opiekował się chorą żoną. Po zmianach tzw. polskiego października dość często zamieszczał publikacje w „Kierunkach”, „Tygodniku Powszechnym”, „Przeglądzie Polskim i Obcym”, podejmując problematykę ogólnopolityczną i dotyczącą współczesnego rozwoju nauk.

Zmarł 1 września 1977 w Lanckoronie.

Źródła i literatura

Jerzy Stablewski, [Dzienniki], Biblioteka Uniwersytecka KUL, rkps 398 (1); Wydział ksiąg wieczystych Sądu Rejonowego w Garwolinie; Repetorium starych ksiąg wieczystych: poz. 645/3 tomy i 639 tom II (kopie w posiad. S.J. Rostworowskiego); *Plan budowy Osiedla Klimatyczno-Wypoczynkowego „Wilga”, „Kurjer Warszawski”* 1929 nr 149; *Zawiadomienie o wycieczce do Wilgi, „Kurjer Warszawski”* 1929 nr 160; *Oświadczenie działaczy katolickich, „Rzeczpospolita”* nr 346 z 18 XII 1946; B. Kroll, *Rada Główna Opiekuńcza 1939–1945*, Warszawa 1985, s. 415 (tu błędnie imię: Tomasz); K. Studnicki-Gizbert, *Władysław Studnicki, „Tygodnik Polski”* z 30 czerwca 1985, przedruk W. Studnicki, *Tragiczne manowce*, Gdańsk 1995, s. 207; *Kuszenie katolików, „Polityka”* 1990 nr 49, s.13; T. Górecki, *Powstanie Osiedla Klimatyczno-Wypoczynkowego „Wilga” nad Wisłą*, Wilga 1999 (mps w posiad. S.J. Rostworowskiego); L. Cupryjak, *Historia Osiedla Wypoczynkowego w Wildze*, internet, 02.01.05; relacje Aleksandra Bocheńskiego i Edmunda Moszyńskiego w posiad. S.J. Rostworowskiego).